

20 lat temu
pod
Stalingradem

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

CZERWONY VERDUN

Ignacy Rukiewicz

20 lat temu, 19 listopada 1942 roku, rozpoczęła się gigantyczna ofensywa radziecka pod Stalingradem, węzłowym punkcie komunikacji centralnych obszarów Związku Radzieckiego z Kaukazem. W dwa i pół miesiąca później 330-tysięczne zgrupowanie niemieckie, dowodzone przez feldmarszałka von Paulusa, uległo całkowitej likwidacji. Niemcy hitlerowskie doznały straszliwego ciosu, który wstrząsnął ich sytuacją wojskową i polityczną.

Przemawiając przez radio niemieckie 15 lutego 1943 roku, gen. Dittmar zmuszony był przyznać, że po raz pierwszy „to, co było za naszą sprawą udziałem innych, dotknęło nas samych. Byliśmy osaczani, atakowani ze wszystkich stron, ściskani na wąskich przestrzeniach i rozciniani na kawałki w kotłach”.

Inny generał niemiecki, v. Tippelskirch, w wydanej w NRF „Historii drugiej wojny światowej” wyraził tę samą opinię:

„Chociaż w ogólnych ramach wojny wydarzeniom w Afryce północnej wyznacza się wybitniejsze miejsce, niż bitwie stalingradzkiej, jednakże katastrofa pod Stalingradem wstrząsnęła silniej armią niemiecką i narodem niemieckim, ponieważ była dla nich bardziej dotkliwa. Tam wydarzyło się coś niepojętego, nieprzeżywanego od roku 1806 (Klęska pod Jeną i Auerstaedt — I. R.) — zagłada okrążonej armii”.

Przyjrzyjmy się więc temu, by użyć słów prezydenta Roosevelta, „sławnemu zwycięstwu”, które „zatrzymało falę najazdu i stało się punktem zwrotnym w wojnie narodów sprzymierzonych przeciwko agresji”.

„Ogólne pierwotne plany kampanii na wschodzie pozostają w mocy — brzmiała dyrektywa nr 41 Kwatery Głównej Fuehrera z 5 kwietnia 1942 roku — zadanie główne polega na tym, by — utrzymując obecnie zajmowane stanowiska na odcinku centralnym — zdobyć na północy Leningrad i nawiązać łączność lądową z Finami, na południowym zaś skrzydle frontu dokonać przełamania i wdrzeć się na Kaukaz.

...w pierwszej kolejności wszystkie znajdujące się w dyspozycji siły powinny być ześrodkowane do przeprowadzenia głównej operacji na odcinku południowym w celu zniszczenia przeciwnika na zachód od Donu, by następnie opłonić obszary roponośne na Kaukazie i przekroczyć łańcuch Gór Kaukaskich.”

Spod Kurska i Charkowa na Woroneż, stąd i spod Rostowa na Sta-

lingrad, by z kolei ruszyć na południe, na Kaukaz — taka była ogólna linia uderzeń niemieckich przewidzianych w operacji „Blau”, rozpoczętej 28 czerwca siłami Grupy Armii „Południe” pod dowództwem feldmarszałka v. Bocka, dysponującego 50 dywizjami, 12 dywizjami pancernymi i 3000 samolotów. Opanowanie Stalingradu miało w tej wielkiej operacji znaczenie zupełnie podstawowe, inaczej nie sposób było zapewnić bezpieczeństwa manewru w kierunku Kaukazu.

Nie ma powodu wątpić, że dyrektywa nr 41 ustalała zadania, których wykonanie miało w intencjach niemieckiej Kwatery Głównej stworzyć warunki do decydującego rozstrzygnięcia strategicznego, decydującego być może o losach wojny. Zamierzona przez Hitlera wojna błyskawiczna załamała się już w grudniu 1941 roku na przedpolach Moskwy, w ciągu następnych czterech miesięcy wojska radzieckie potrafiły przesunąć linię frontu na powrót w okolice Wielkich Łuków, Smoleńska, Orla, Kurska, Charkowa, Rostowa. Tak więc Fuehrer szukał nowych rozwiązań. Pozbawienie Rosjan kaukaskiej ropy, jak się spodziewał, podważyłoby siłę radzieckiego oporu. Przekroczenie Kaukazu otworzyłoby jednocześnie przez Turcję drogę na Bliski Wschód, dokąd zmierzał afrykański mielibyśmy wybrzeżami „lis pustyni” Rommela, którego czekała Klęska pod El-Alamein w przeddzień przełamania pod Stalingradem w pierwszych dniach listopada.

Ofensywa v. Bocka rozpoczęła się 28 czerwca. Już wcześniej, w maju i czerwcu, Niemcy wykonali szereg operacji znacznie poprawiających ich położenie, padł półwysep Kercz zbliżyli się ostatnie dni bohatersko broniącej twierdzy sewastopolskiej. Atak na Woroneż powiódł się, ale próba wzięcia w kleszcze sił radzieckich walczących na zachód od Charkowa w pierwszej połowie lipca

Dokończenie str. 3

Kreśląc portret poznaniaka, uważa się za niezbędne stosowanie barw realizmu przyziemnego. Poznaniacy pono znani są z tego, że nie tkwią głowami w obłokach, że — jak się to zwykło mówić — wiedzą, po jakiej chodzą ziemi.

Warszawiacy, odnoszący się z sporym respektem do realizmu, cechującego styl życia poznaniaków — sprowadzają sumę naszych wad do określenia: brak wyobraźni.

Jako „podwarszawiony” poznaniak, przez długie lata byłem wyznawcą tego uproszczonego poglądu. Ale z biegiem czasu torowały sobie drogę do mej świadomości fakty, pod których naporem skłonny byłbym owe tradycyjne, dodatnie i ujemne cechy poznaniaków poddać zweryfikowaniu. Dochodzę bowiem do wniosku, że bądź to owe cechy uległy zanikowi, bądź nawet nastąpiło swoiste zjawisko wyrównania. W wyniku owego procesu poznaniak AD 1962 wykazuje pewne symptomy błędzenia myślami w chmurach — w przeciwieństwie do współczesnego mieszkańca stolicy, którego codzienne życie cechuje coraz częściej umiarkowany „realizm”.

Mentalność poznaniaków wyszła by wiele, gdyby niedobór wyobraźni w jakimś stopniu uzupełnić; nie widzę jednak powodów do radości, gdy wyobraźnia zaczyna dominować nad naszym — że pozostaniemy przy tym nienaukowym terminie — przyziemnym realizmem.

Pozwólcie, że sięgnę teraz po przywilej, jakim jest przejawianie. Chodzi wszak o to, aby poznańców rejtować z pozycji realistów ukazać w pełnym kontraście. Sądzę, iż najbardziej wyraziście opisane zjawisko daje się obserwować na tle sytuacji w poznańskim budownictwie i urbanistyce.

Były sobie kiedyś w Poznaniu mosty trzy: Chwaliszewski, Chłobrego, Cybiński. Mniej więcej 18 lat temu przestały, z woli cofających się hitlerowców, egzystować. Nie istnieją (w wykonaniu, które czyniłoby je w pełni użytecznymi) do dzisiaj i nie prędko się ich doczekamy w komplecie. Dlaczego? Z braku pieniędzy, czy z braku realizmu — nie tyle aktualnych, ile poprzednio działających władz miejskich? Ryzykuję pogląd, że dawno byśmy owe mosty mieli, gdyby nie koncepcje na miarę nie naszej epoki.

Należało chyba, no, może nie 18, ale 17, 16, a może 15 lat temu — zabrać się za budowę jednego z omawianych mostów. Później — drugiego. Dzisiaj chyba gotowa byłaby cała trójca. Ale w pewnych umysłach i pewnych pracownikach — roziła się Wielka Koncepcja; nie żaden tam zwykły jeden z drugim most; tam powstawała trasa. Trasy mają to do siebie, że dużo kosztują. Mowa w sprawie dużych pie-

Piotr Życki

gdzie poznkański realizm?

niechęć jest zawsze trudna, a często daremna.

Więc też z roku na rok „trasa” nie mogła się w, z trudem dopinać, budzenie zmieszczać. Rezultat? Na XX-lecie Polski Ludowej — wszystko wydaje się na to wskazywać — nie będzie miał Poznań tych mostów.

No, ale może to odosobniona historia? Gdybyż tak było! Znaczący ulicę Piekary, aleje Marcinkowskiego, wstępną wyprawę, przypominającą co dzień koszmar lutego 1945? Nieprędko jeszcze one znikną. Dlaczego? Z braku pieniędzy, czy z braku realizmu?

Z zapisków zrzędy

Ano w pewnych umysłach i pewnych pracownikach rodziły się projekty na miarę „itd. Ma Warszawa (tu zdawano się zapominać, że stolica w swych podstawowych fragmentach została zburzona, a poza tym — wiadomo, stolica...) swoje trasy W-Z, P-P, powinien mieć i Poznań. Nie będziemy odbudowywać — bo będziemy przebiegać trasę północ — południe. Za ile? Mniejsza z tym. Rezultat? Na XX-lecie Polski Ludowej „itd.

Ulice Czerwonej Armii i 27 Grudnia, Wielkie Koncepcje, wielkie nadzieje, a wynik? Przypominają mi się słowa Jana Szydłaka, wypowiedziane przy okazji jednej z narad. I Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Partii nie bez goryczy stwierdził, iż Poznań będzie jedynym wielkim miastem polskim, które na XX-lecie nie będzie miało uporządkowanego środowiska.

Nie chciałbym zostać źle zrozumiany; osiągnięcia odbudowy i rozbudowy Poznania są ogromne i bezsporne. Nie ulega ponadto wątpliwości, że odbudowując i rozbudowując miasto — trzeba i należy szukać nowych, nowoczesnych rozwiązań urbanistycznych. To wszystko jest tak samo oczywiste, jak to, że bez środków materialnych i najlepszych ojców miasta nie zrealizują, ograniczonych choćby, koncepcji. Ale źle, gdy koncepcje i odmalowywane wizje nie są dostatecznie nacechowane realizmem, bo to w zasadniczy sposób utrudnia starania o konieczne środki materialne.

Któż nie chciałby Poznania nowoczesnego, Poznania ze wspaniałymi arteriami! Cóż jednak warto są wizje, których realizację przez długie lata pozostaje pod wielkim znakiem

zapytania? Mają one jedynie znaczenie jako założenia przyszłościowe — dla współczesności nieprzystające. Jeśli się z tym zgodzimy, droga do rozsądnego weryfikowania nazbyt przyszłościowo pomysłanych planów — staje otworem.

Rataje, wielkie zamierzenie, gdzie w grę wchodzi już nie miliony, lecz ich setki! Na razie (od kiedyś, ach od kiedy!) wyłącznie na papierze. Na Ratajach ogrodnicy nadal uprawiają kalafiora i pietruszkę, za co niech będą im dzięki, wobec ubóstwa ogrodniczego zaplecza naszego miasta.

Inne przykłady. Sławetna przebudowa ulicy Grunwaldzkiej. Jak wiadomo, ul. Grunwaldzka wiedzie do nikąd (przepraszam, jeśli urażam

ambicje mieszkańców osiedla Plewiska). To nie jest arteria. To zwyczajna ulica. Widać jednak pieniądze mamy, skoro fundujemy sobie od razu dwie jezdnie, tramwaj pośrodku, przy okazji dwa tzw. ronda — wszystko za ileś tam milionów. Proste poszerzenie jezdni nie byłoby godne naszej epoki. W imię więc Koncepcji przez duże „K” — w okresie minionych osiemnastu lat na tej, dotychczas wąziutkiej, ulicy — niemal co dnia zdarzały się kraksy.

Z podobnych względów Poznań chyba w ciągu dalszych 20 lat nie pozbędzie się rozmaitych ogródków działkowych z bieda — domkami przy ulicy Bułgarskiej, na Górczynie, czy gdzie indziej. Koncepcja na miarę epoki mówi bowiem: trzeba by wystawić tyle a tyle bloków, by przebiegała przez nich ludzka, z owych budek, a na to nas nie stać. No pewnie. Od razu nie. Ale gdybyśmy stopniowo i niekoniecznie od razu do bloków z łazienkami, lecz do solidnych, muryrowanych parterowców... To jednak wydaje się niegodne — itd. Rezultat? Na Grunwaldzie bloki DBOR-u stoją już twarzą w twarz z osiedlem dawniej nędzy i sytuacja jest taka, że będziemy musieli podjąć jednak decyzję. Decyzję — miejmy nadzieję — nacechowaną tym razem realizmem.

Z tych samych względów, właśnie dlatego, że niektórzy przestali stać pać po tej ziemi — mamy nadal w środowisku przestarzałe ZOO. Bo nie było nas stać i jeszcze nas nie rychło stać będzie na budowanie nowego zwierzyńca „na miarę...” (zresztą zaplanowanego w okolicy, której przysłowiowy pies z kulawą nogą nie odwiedza).

Dokończenie na str. 4

Przed paru laty w pewnej ankiecie zapytano m. in., który zawód spełnia najdonioślejszą rolę w społeczeństwie. Większość odpowiedziała: zawód nauczyciela. Odpowiedź jest zrozumiała. Z którym bowiem zawodem ma społeczeństwo więcej i bardziej żywych kontaktów niż z nauczycielami? Całe dorosłe społeczeństwo sporą część swego życia spędziło pod bezpośrednią pieczą nauczycieli. Cała młodzież obecnie żyje pod ich wpływem.

Jednakże myśląc o nauczycielu najczęściej kojarzymy sobie jego osobę z samym nauczaniem i wychowaniem. Zbyt często zapominamy o działalności społecznej nauczyciela w środowisku, mającej u nas długie tradycje. A działalność ta obejmuje dziedziny i środowiska w tak szerokim zakresie, że gdy spojrzymy na całość zdumiewamy się bardzo. A więc poza pracą szkolną działają nauczyciele w organizacjach PZPR i ZSL, ponad 300 należy do kół ZMS (186 pełni funkcje we władzach ZMS), ponad 550 działa w ZMW, a przeszło 1000 w ZHP. Oczywiście, nauczyciele wpływają na pracę tych organizacji, a jednocześnie sami uczą się społecznego działania, zdobywają doświadczenie.

Do rad narodowych wszystkich szczebli wybrano w naszym woj-

Józef Pieprzyk

Drugi bagaż nauczycielski

wództwie 1186 nauczycieli, a w komisjach radzieckich pracuje ich 1070. Jedynie „na szczeblu” gromady, we władzach GRN i w komisjach gromadzkich pracuje 1577 nauczycieli. Nie brak też nauczycieli w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej (319), w Towarzystwie Przyjaźni Polsko - Radzieckiej (1946), w towarzystwach regionalnych, w Towarzystwie Szkół Świeckich, w ochotniczych strażach pożarnych. Blisko 900 nauczycieli działa w kółkach rolniczych, a 575 we władzach i komisjach spółdzielni różnego rodzaju. Świadczy to o dużym wyrobieniu społeczno-politycznym i gospodarczym nauczycieli, a równocześnie o zaufaniu, jakim obdarza ich społeczeństwo.

Inną dziedziną działalności nauczycieli jest oświata pozaszkolna. 977 szerzy oświatę rolniczą, 122 —

techniczną, blisko 700 — kulturę fizyczną. Około 670 prowadzi zespoły artystyczne lub w nich bierze udział, 23 — kieruje pracą w domach kultury, 32 — klubami, 127 — świetlicami, 62 — uniwersytetami powszechnymi, pomaga im 531 kolegów. Wliczając tu przeszło 1400 nauczycieli uczestniczących w akcji ogólnooświatowej, liczba aktywistów tej dziedziny sięga 4 tysięcy osób.

Niektórzy nauczyciele pełnią równocześnie kilka funkcji. Dlatego trudno dokładnie obliczyć ilu wychowawców młodego pokolenia włączyło się w nurt życia społecznego. Chyba nie mniej niż dwie trzecie ogólnego stanu nauczycielskiego (przeszło 18 tysięcy).

W stosunku do możliwości nauczycielskich to dużo. Bo pod uwagę należy wziąć 2200 nauczycieli kształcących się zaocznie na

studiach nauczycielskich, uniwersytetach, politechnikach i Wyższej Szkole Pedagogicznej. Wielu też nauczycieli — z braku mieszkania przy szkole — dojeżdża do pracy, wielu uczy dzieci od rana do wieczora, bo nauka ze względu na brak pomieszczeń odbywa się na dwie i trzy zmiany. W tych sytuacjach nie może być mowy o szerokiej pracy społecznej.

Ale w stosunku do potrzeb środowiska liczba nauczycieli-działaczy jest jeszcze mała, szczególnie w dziedzinie kulturalno-artystycznej. 645 osób na 3,5 tysiąca wiosek i sto miast i miasteczek nie rozwiązuje problemu wypełnienia wolnego czasu mieszkańców. Ilekroć do domów kultury i coraz liczniejszych klubów czeka na tych, którzy by tchnęli w nie życie!

Niemniej zanotować tu należy bardzo dobre zjawisko, a mianowicie do budzenia i kierowania życiem kulturalnym włącza się coraz więcej młodych nauczycieli. Widać to w powiatach obornickim, krotoszyńskim, średzkim i kilku innych. A już zdawało się, że gdy starsi nauczyciele się wykruszą, nasze placówki kulturalne znajdą się w bardzo trudnym położeniu. Za pionierami na pewno ruszą inni.

Nie wymieniałem wszystkich społecznych akcji nauczycieli. Cho-

ciażby ich własna działalność kulturalna. Nauczyciele przecież prowadzą 67 zespołów (w tym 14 teatrów amatorskich i 15 chórów) liczących 1165 członków, dających w roku 226 występów dla 35 tysięcy widzów. Nie wymieniałem też takich inicjatyw, jak: budowa domów kultury w czynnie społecznym, higienizacja wsi, budowa dróg, zadrzewianie i wiele innych przedsięwzięć, które z aprobatą podjęły poszczególne środowiska. W realizacji tych zamierzeń pomagali inicjatorom koledzy z sąsiedztwa, służąc radą i dodając zachęty. Nauczyciele poza tym służą osobistą radą rolnikom w sprawach rodzinnych, a byłym uczniom — w kłopotach życiowych.

Jednym słowem, do bagażu swoich zadań, wynikających z ustawy, dołożyli inne, wynikające z rzetelnego traktowania swego posłannictwa społecznego dla dobra rodziców i starszego rodzeństwa swoich uczniów.

Toteż słowa uznania, które składamy nauczycielom w Ich święto, odnoszą się nie tylko do nauczycieli — wychowawców młodego pokolenia, ale również do nauczycieli — działaczy. Za ten dodatkowy trud, za wierność chlubnej tradycji — do mnóstwa życzeń i kwiatów — serdeczna wdzięczność społeczeństwa.

WALKA i POLKA

Aż zgroza bierze, kiedy pomyśleć co też to z nami wyprowadzi, różni tacy z gospodarki mieszkaniowej, z tych tam ADM-ów i MZBM-ów. My się staramy, żeby te nasze kochane miasta były coraz to piękniejsze i coraz więcej miały bloków, a to towarzyswo zamiast poparcia, to nic, tylko regulaminy, rygory i szykany.

Dużo się mówi i pisze, że nowe domy i nowe mieszkania, i jak by to ładnie było, żeby każdy mógł sobie mieszkać w tych szufladkach i pudełkach, które nam wyczarowują architekci upojeni poezją normatywów. Toteż wielu z nas szybko się zorientowało, że do tego świetlanego celu, to jest aby wszyscy mogli mieszkać w nowych domach, jedyną logiczną drogą jest... No, co jest? Ależ tak, oczywiście: unicestwienie domów starych!

Niestety, ci panowie od ADM-ów, odgrodzeni od mas barykadą papierków, nie mogą spoza swoich biurkowych bastionów dostrzec tej prostej prawdy, którą pojęły i wprowadzają w czyn szerokie rzesze dorosłych i młodzi, a nawet i dżiawa w przedszkolnym wieku.

Pomimo zacieklej prześladowań ze strony tych panów, każdy jak może tak się przykład, żeby przybliżyć jasną wizję naszego grodu. Ten wykorzystuje swoje możliwości wodociągowe i zalewa sufity w pionie kilku pięter, łamien może się zaledwie zdobyć na wybiecie kilku sztyb na strychu czy w piwnicy. Ktoś obdarzony montera smykalką specjalizuje się w usuwaniu instalacji elektrycznych na schodach, inny hoduje króliki w wannie, albo rąbie parkiety na opał. Jeden może sobie pozwolić na zakładanie anteny TV, naturalnie pozostawiając dziurę w dachu, a drugi, bidulka, dokłada od siebie coś, jakby wdowi grosz, do ogólnego dzieła, wrzucając do klozetu flaszeczki, flakoniki i słoiczki.

Zwolennicy środków chemicznych poddają naszą starą substancję mieszkaniową metodzie amoniakalno-ekskrementalnej, przeważnie w bramach i piwnicach, chociaż są i tacy, którzy mieszkając na wyższych piętrach, chemikaliami osobistej produkcji oblewają zewnętrzne ściany budynków, razem z oknami sąsiadów. Zgodnie z maksymą „czym chata bogata...”

A pracowicie paluszki naszych milusińskich, zachęcanych przez dzielne matki - Polki i ojców - Sarmatów, niezmordowanie a delikatnie wydłubują kamyczki mozaiki z chodników i co mniejsze płyty, a także całe cegły ze ścian. Skrupulatnie obskubują też wszystkie krzaki z liści i gałęzi, a te kochane słópczki każdy trawnik przed domem ubijają na klepsko. No i szerzy się dziecięca literatura ścienna, pod względem słownika nie ustępująca awangardowym arcydziełom naszego nowoczesnego pisarstwa. Spotyka się

też ścienne polemiki, jakby żywcem wyjęte z tygodników literackich, na przykład „Helka jest głupia”, albo „Jurek jest świnią”.

I co na to biurokraci z MZBM-ów i ADM-ów? Zamiast wnikliwej troski, zamiast popierać i otaczać i przyspieszać, to połępiają. Obłudnie rozdierają szaty, że to wandalizm, że złodziejstwo, do chlewa albo do mamra z takimi. Tak, jakby konstytucja zabraniała komu mieszkać w chlewie kiedy bardzo tego chce. I co gorsze, tu i ówdzie jeszcze naprawiają te — jak oni nazywają — szkody.

Mało tego. Używając przewrotnej argumentacji i perfidnie szermując hasłem społecznego dobra potrafili nie tylko zwerbować prasę na swoje usługi, ale i otumaniać niektórych obywateli i przekabacić ich na swoją ciemną stronę. Uwidzeni syrenim śpiewem dyrektorów obywateli ci wydają swoich sąsiadów i niesąsiadów na pastwę milicji, kolegów i orzekających, a nawet i sądów.

W swojej naiwności nie zdają sobie sprawy, że się staczą w bagno sługusów, złowrogiej mafii. Nie doszręgają, że zdrowy instynkt mas wykuł i kuje dalej znaną i wypróbowaną zasadę, że aby dostać nowe mieszkanie, najlepiej zdemolować to, w którym się mieszka.

Ale na nic ta kracia i rozbijacka robotka kliki MZBM! I tak nie uda im się wszystkiego naprawić, bo i nie nadają i nie słarczy im pieniędzy. Bohaterska postawa części mieszkańców naszego grodu uszczupliła im ten gadzinowy fundusz remontów o dobry milion z hakiem przez te naprawy, nie licząc kilku milionów niezapłaconych czynszów za mieszkania.

Porwani paroksyzmem wściekłości panowie dyrektory knują nowy zamach: chcą wezwać pomocy usłużnych komorników, którzy z krwiożerczą ochotą wleżą naszym bohaterom na pensję. W niwecz się jednak obróci te nieprzemyślane zakusy zrodzone w szaleńczych mózgach. Jesteśmy wystarczająco zahartowani w solidarnej walce przeciw ściąganiu alimentów i wystawianiu opinii o naszych zakładowych pijakach, pokrzyżujemy więc i do kompletnego fiaska doprowadzimy te obłądne plany.

Tak więc dzięki ofiarnej pracy wielu bezimiennych, niestety bohaterów możemy spać spokojnie i śnić o promiennej mieszkaniowej przyszłości naszego miasta — dopóki nam się chłupa na głowy nie zawali. A jak się zawali, to ktoś przecie musi nam dać nowe mieszkanie. Z nowego budownictwa.

Może będzie troszkę przyciasne, bo co metr na osobę, to ostatecznie nie to samo co siedem czy dziewięć. Ale zawsze co nowe to nowe. A zanim się nam opalrzy i znudzi, to już się dochowamy nowych pokoleń i będzie można zaczynać tę polkę od początku.

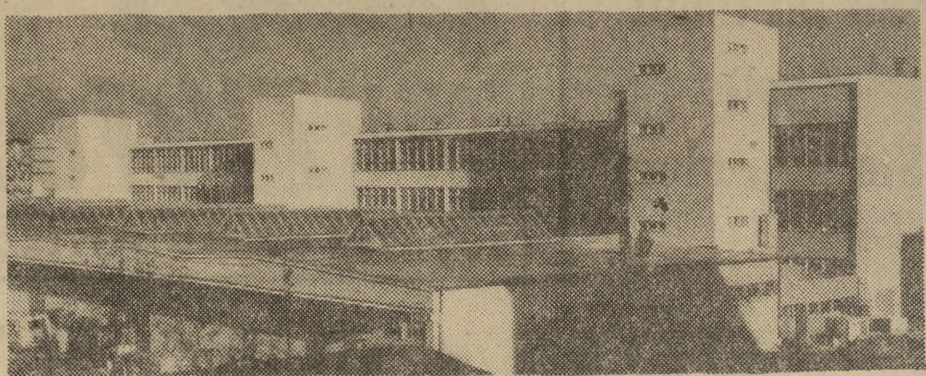
Bef

POZNAŃSKA

„CENTRA”

(Z cyklu — nowe fabryki)

Fot. — K. Przychodzki



Michał Łuczak

Niedoceniana profilaktyka

Ministerstwo Zdrowia wydało broszurę pt. „Wytoczne dla badań profilaktycznych w zakładach przemysłowych i na budowach”. Publikacja ta dotyczy rozmaitych badań specjalistycznych mających podstawowe znaczenie przy zapobieganiu chorobom zawodowym. Nie brak w tej dziedzinie również wielu zarządzeń i instrukcji. Chyba słuszenie — profilaktyce w działalności przemysłowej służby zdrowia należy się poczesne miejsce. Niestety, w praktyce bywa nieco inaczej.

Niemówność?

Otwarcie trzeba powiedzieć, że w niektórych zakładach pracy zapobieganie chorobom nie istnieje lub znajduje się w stanie nieustannego „kiełkowania”. Przykładem — PGR-y. Przy Wojewódzkim Zjednoczeniu miała powstać przychodnia. Zadania tej placówki, to m. in. koordynacja i kontrola badań pracowników rolnych przez wiejskie ośrodki zdrowia, a także samodzielne przeprowadzanie badań w powiatach. Pertraktacje w tej sprawie toczą się od 1958 r., a skutków jak nie widać tak nie widać. Zjednoczenie PGR raz tylko zdobyło się na gest i oferowało przychodnię — jako siedzibę — barak w Pobiedziskach (?).

Niewesoło dzieje się również w przedsiębiorstwach budowlanych. Badania pracowników przeprowadzane są czasami na terenie budów w warunkach „polowych”. Tylko PBP nr 1 posiada ambulans na kółkach. Projekt zorganizowania branżowej przychodni obwodowej od 1958 roku nie może doczekać się realizacji. (Przykład leśników, którzy założyli tego rodzaju placówkę dysponującą ruchomymi ambulansami — zdaje się mówić że „dla chcącego nic trudnego”).

Właściwej opieki profilaktycznej nie mają również pracownicy małych zakładów przemysłowych. Np. na Wildzie pracowników takich jest około 3 tys., podczas gdy w dzielni-

cowej Poradni Higieny Pracy (PHP) działa jeden lekarz i tylko przez 5 godzin dziennie. Wspomniana poradnia posiada na domiar zgiego kiepskie warunki lokalowe (w jednym pokoju odbywają się badania i rejestracja). W jeszcze gorszej sytuacji znajduje się PHP na Grunwaldzie, pozbawiona własnych lokali i korzystająca z pomieszczeń Zespołu Leczniczego - Zapobiegawczego.

Warto podkreślić, że niedawno problem ten był omawiany przez wojewódzką instancję partyjną, przy czym jeden z wniosków egzekutywy KW PZPR stwierdzał, że konieczna jest poprawa poziomu opieki profilaktycznej nad pracownikami małych zakładów — przez

O przemysłowej służbie zdrowia

właściwą organizację powiatowych i dzielnicowych PHP oraz zapewnienie tym poradniom odpowiedniej bazy lokalowej.

Za mało laboratoriów

W wielu zakładach zapobieganie chorobom istnieje, ale jest niedoskonałe. Przykładowo wymienimy: „Alco”, „Pomet”, „Centra”, PFMZ, PWP, Poznańska Hutę Szkła, gdzie notuje się znaczne nasilenie chorób zawodowych i wypadków przy pracy. Dlaczego tak się dzieje?

Przyczyn jest sporo. Np. mnogość obowiązków lekarza zakładowego (którego szczególnie trapi papierkowa robota) i obowiązujące, a skromne normy zatrudnienia lekarzy (na 1000 pracowników — 10,5 godzin dziennie). Oczywiście, w tej sytuacji nie zawsze wystarcza czasu na profilaktykę.

Podstawową przyczyną jej słabości jest jednak niedostateczna sieć pracowni analitycznych przy ZLZ-ach. Brak laboratoriów sprawia, że niejednokrotnie okresowych badań pracowników dokonuje się jedynie

osłuchowo — bez badań pomocniczych (np. krwi), co ogranicza o połowę możliwości rozpoznawcze lekarza. Mała liczba pracowni to skutek przede wszystkim trudności lokalowych.

Niestety, dyrekcje przedsiębiorstw niejednokrotnie lekceważą swoje podstawowe obowiązki w zakresie troski o zdrowie pracowników. Świadczyć może o tym choćby taki fakt: Co kwartał powinny się odbywać spotkania przedstawicieli dyrekcji z lekarzami, którzy mają przedkładać wnioski — wynikające z działalności profilaktycznej — a zmierzające do poprawy stanu bhp. Zebrania takie — odpowiednio zorganizowane mogłyby być nader pożyteczne. Jednakże dyrekcje albo nie delegują na spotkania kompetentnych pracowników, albo przekładają terminy. Np. w „Cegielskim” ostatnia tego rodzaju narada odbyła się w czerwcu br.

Niedobrze przedstawia się również terminowość badań okresowych. Często dyrekcja — kierując się jedynie troską o wykonanie planu — nie zwalnia pracowników na badania. Zdarza się więc (np. w „Stomilu”) że robotnicy od dłuższego czasu nie są badani.

Wolne tempo

Można zauważyć sporą dysproporcję między tempem rozwoju przemysłu, jego stałą modernizacją a przeobrażeniami przemysłowej służby zdrowia. Prawda, że np. liczba ZLZ-ów stale wzrasta (w Wielkopolsce jest ich obecnie — 105, w Poznaniu — 61), ale postęp w tej dziedzinie — powoli toruje sobie drogę.

Z tym zapewne łączy się anachroniczne w naszych czasach ignorowanie przez wyższe medyczne uczelnie — problematyki przemysłowej służby zdrowia. Z uznaniem należy więc przyjąć postulat egzekutywy KW PZPR, mówiący o wprowadzeniu do programu nauczania Akademii Medycznej wspomnianej problematyki bądź to przez utworzenie odpowiednich katedr, bądź też przez wykłady, które wygłaszałiby specjaliści.

Na uwagę zasługuje również prze prowadzona w niektórych ZLZ-ach akcja opracowywania tzw. metryk stanowisk uciążliwych i szkodliwych dla zdrowia. Chodzi tu o określenie stopnia szkodliwości — danego stanowiska — i przeciwwskazań lekarskich. Takie rozeznanie, rzecz jasna, niezmierznie ułatwia profilaktykę.

Niestety, i w tej dziedzinie nie brak trudności. Wiąże się to bowiem z systematycznymi badaniami mikroklimatu, a tymczasem Stacje Sanitarne-Epidemiologiczne nie potrafią zrealizować wszystkich zleceń. Stąd też nasuwa się postulat organizowania — przynajmniej we wszystkich większych zakładach — pracowni higieny pracy. Podobne placówki obsługujące wszystkie mniejsze przedsiębiorstwa mogłyby powstać w powiatowych i dzielnicowych stacjach sanitarno-epidemiologicznych.

Warto podkreślić, że w bież. roku Centralna Rada Związków Zawodowych wyasygnowała poważne kwoty na konto przemysłowej służby zdrowia. Wrześniowa uchwała Rady Ministrów zobowiązuje natomiast zakłady pracy do świadczeń na potrzeby lecznictwa przemysłowego. Środki na podniesienie poziomu profilaktyki powinny więc się znaleźć. Chodzi teraz o to, by je właściwie wykorzystać.

Bogusław Kogut

Kasyno „Arsenal”

Dwa tygodnie temu otwarty został klub w plastikach w Arsenale. Już wcześniej pojawiła się idea, by nie był to tylko klub związkowy plastików (jak kiedyś ten przy placu Wolności), ale by powołać tutaj do życia klub Związków Twórczych, obejmujący wszystkie stowarzyszenia artystyczno-twórcze, tudzież niektóre środowiska naukowe. Idea piękna. Więcej — wielka szansa.

W Poznaniu bardziej niż gdziekolwiek indziej potrzebna jest placówka zdolna skupić wokół siebie (czy raczej w sobie) najaktywniejsze elementy poszczególnych środowisk artystycznych i twórczych wraz z pracownikami niektórych katedr uniwersyteckich, zespolić rozproszone i rozmiągające się niekiedy inicjatywy i wysiłki, słowem — zinte-

grować, choćby w pewnym stopniu, środowiska kulturowo-twórcze miasta. W Poznaniu bowiem, o czym zresztą każdemu wiadomo, jest tak, że każdy sobie rzepkę skrobie. Kłopoty, osiągnięcia i zamiary plastików nie bardzo obchodzą literatów i odwrotnie; muzycy nie zauważają złożonych problemów architektury i odwrotnie; przykłady można by mnożyć. Na ten stan rzeczy składa się wiele przyczyn, jak: nikła rola prasy w zakresie inspirowania współpracy międzyśrodkowej, stale wzrastająca „specjalizacja” poszczególnych dziedzin twórczości w warunkach nowoczesnej cywilizacji; wreszcie nie najlepsza tradycja, znamienną się skłonnością do izolacji i samoadoracji poszczególnych profesji artystycznych.

Już zważywszy te przyczyny, łatwo dojść do wniosku, że zadania Klubu Związków Twórczych, jego kierownictwa i Rady Programowej nie będą bynajmniej łatwe. Tym bardziej że w Poznaniu nie ma precedensów tego typu działalności (udanej), ani wzorów do naśladowania. Ruchliwy i zastużony klub „Od nowa” nie może tutaj być wzorcem, gdyż działa on w dość specyficznym środowisku, a jego działal-

ność ma charakter bardziej popularizatorski niż inspiratorski.

Chodzi tu o taki program imprez, a raczej rozmów, dyskusji, wymiany poglądów — który nie tylko zaciekałoby doraźnie ludzi z poszczególnych profesji artystycznych — ale który odnajdywałby punkty zbieżne w praktycznej działalności poszczególnych środowisk twórczych, stwarzał możliwości efektywnej współpracy, pomagał rozwiązywać konkretne problemy. Rzecz jasna, że mimo poważnych i ambitnych założeń programowych Klub powinien posiadać charakter towarzyski, kameralny, być miejscem, w którym każdy zainteresowany czułby się „jak u siebie w domu”, czyli powinien ten klub być czymś w rodzaju kasyna artystów, naukowców, pisarzy i przyjaciół kultury. Napięciem „kasyna” i zwątpieniem, czy zostanie dobrze zrozumiany. Ale — nie bójmy się zbyt tego ostawionego trochę słowa. Chciałbym za jego pomocą podkreślić ściśle środowiskowy (co nie znaczy konieczne elitarny) charakter placówki, przypomnieć, jak ważną dla przyszłości Klubu będzie panująca tam atmosfera.

Nie zabawiając się w rozległe horoskopy czy też zbędne prze-

strogi — zauważam jednak dwa główne niebezpieczeństwa, rysujące się przed tą placówką, z którą wielu ludzi wiąże nie byle jakie nadzieje. Jeśli działalność klubu pójdzie przede wszystkim w kierunku szukania natychmiastowych efektów, jeśli w tej działalności strona programowa weźmie zdecydowanie górę nad stroną towarzyską — Klub łatwo może stać się przybytkiem sztywności, efekciarstwa i tromtadracji. Ale jeśli zbytnio przeważą strona towarzyska — „kasynowa” — wówczas wiadomo, będzie to jeszcze jedna świątynia Bachusa, okraszona szachami, brydżem, telewizorem. Takich było już wiele.

Utrzymanie się w okolicy zło tego środka nie będzie łatwe. Ale chyba możliwe. Czego należy życzyć założycielom i bywalcom „Arsenatu”, który w żadnym razie nie powinien zostać arsenałem pogrzebanych ambicji.

nad i

Kiedy na XXII Zjeździe KPZR partia wzywała „działaczy kultury i sztuki do śmiałości i nowatorskiego opracowywania tematów współczesności”, najbardziej widocznym symbolem nowych poszukiwań wydawały się być zmiany w architekturze: odrzucenie fasadowości i starzyny. W innych dziedzinach życia kulturalnego nowe zjawiska dopiero kielkowały, by ujawnić się szczególnie w roku, który minął od historycznego XXII Zjazdu. Przyczyniły się do tego nowe, ożywcze prądy polityczne i intelektualne: krytyczna ocena nieżyjących schematów, wyzwalanie twórców spod atmosfery lęku, zerwanie z lakiernictwem i tanim optymizmem. Dzisiaj wiemy, że rehabilitacja prawdy dokonywała się w trudnych i ostrych starciach. Nic więc dziwnego, że szczególnie bogate treści w radzieckiej kulturze ukazywały się dopiero po XXII Zjeździe, że dopiero teraz pojawiły się prace artystyczne nacechowane duchem nowych czasów, że dopiero teraz śmiało przemówili wybitni twórcy, ujawniło się nowe pokolenie pisarzy, plastyków, itp.

Zjawiska składające się na rozległy proces tych zmian znane są u nas ciągle jeszcze cząstkowo: widzieliśmy filmy „Los człowieka”, „Lecą żurawie”, „Ballada o żołnierzu”, „Czyste niebo”, czy najnowszy „Dziewięć dni jednego roku”; dotarli do nas wiersze Andrzeja Wozniesińskiego, Eduardusa Meżelajtis, Eugeniusza Jewtuszenki, proza Bułata Okudźawy, nowa proza Ilji Erenburga, ostatnie strofy poematu „Za dalą dal” Aleksandra Twardowskiego. Niewiele z nas natomiast wie np. o powołaniu do kolegów redakcyjnych pism kulturalnych pisarzy jeszcze nie tak dawno atakowanych za rzekomo „jałową” twórczość, o tym, że w muzeum moskiewskim zgromadzone, za jednym „zamachem” 900 obrazów i rzeźb, spośród których sporo cechuje nowatorstwo w formie i treści; że otwarto wystawę obrazów Leonarda da Vinci, Rafaela, Tytjana, wystawę dzieł, których nigdy jeszcze w Moskwie nie eksponowano.

Proces przemian toczy się obecnie niezwykle szybko, z inicjatywy i przy poparciu partii, przy niezwykle szerokim zainteresowaniu społecznym.

Oto dopiero co w październikowym wydaniu radzieckiego miesięcznika „Tieatr” zapowiadano kilka utworów dramatycznych o problemach związanych z okresem kultu jednostki, a już na początku listopada jeden z teatrów leningradzkich wystawił dramatyczną opowieść Leonida Zorina pt. „Przyjaciele i lata”.

„Autor — pisze tygodnik „Ogoniok” — przedstawił okrutne tchnienie kultu jednostki, który ciążył nad ludźmi i krajem. Wiele przyjaźni zostało zerwane, uczucie miłości zostało zduszone i zamiera (...). Rodzi się nieufność, zakłamanie, karierowiczostwo, tchórzostwo, zdrada”.

Najbardziej znamienne utwory pisarskie zamieszczały gazety codzienne, ukazujące się w milionowych nakładach. „Prawda” wydrukowała niedawno znany już u nas wiersz Jewtuszenki pt. „Spadkobiercy Stalina”, „Komsomolskaja Prawda” m. in. wiersz pt. „Strachy”, tego samego autora.

A zainteresowanie społeczne? Głośno są w całym świecie spotkania poetyckie pod pomnikiem Majakowskiego; wielkie sale, w których odbywają się wieczory nowej poezji nie mogą pomieścić wszystkich chętnych słuchaczy.

CZERWONY VERDUN

Dokończenie ze str. 1

spaliła na panewce, Rosjanie szybko przeprowadzili operacyjny odwrót, najwyraźniej chroniąc siły do przyszłej rozgrywki.

23 lipca wydał Hitler dyrektywę nr 45, w której zarządza nowo utworzonej Grupie Armii „A” pod dowództwem feldmarszałka Listy atakować frontalnie Stalingrad, a Grupie Armii „B”, dowodzonej przez gen. v. Weichsa, uderzać na południe, w kierunku Kaukazu. Podstawą tej dyrektywy było zawarte w niej stwierdzenie, że „główne zadania postawione... południowemu skrzydłu frontu wschodniego zostały zasadniczo wykonane”. W istocie Niemcy osiągnęli znaczne co prawda sukcesy taktyczne i operacyjne, zagarnęli nowe rozległe obszary, ale nie zdołali zniszczyć działających tu sił radzieckich, a jednocześnie wydłużyli niebawem dłu-

Tadeusz Kaczmarek

NEPOKÓJ MYŚLI POSZUKIWANE ZNACZY PRAWDY

Jedną z przyczyn niezwykle zainteresowania kulturą radziecką lat sześćdziesiątych jest z pewnością odwaga, z jaką artyści podejmują najbardziej ważne sprawy społeczne i polityczne. Równie istotne jest także to, że wszelkie nowe poszukiwania artystyczne — treściowe i formalne służą ideom, które z taką mocą zrehabilitowano na XX i XXII Zjeździe.

Wspomniany tutaj już poeta litewski Eduardus Meżelajtis, autor

Kultura radziecka lat sześćdziesiątych

tomu wierszy pt. „Człowiek” w artykule „Człowiek przez duże C” tak sformułował artystyczny manifest twórcy:

„Sztuka powinna mówić całą prawdę o człowieku. Może ona pragnąć i chce czegoś lepszego, tworzyć coś lepszego — to jej święte prawo. To patos sztuki. Powinna jednak zawsze przy tym mówić prawdę”.

O tym, że jest to program nie tylko poety, świadczy najnowsza twórczość radzieckich artystów; o zjawisku tym na przykładzie poezji tak mówi A. Wozniesiński: „Wiosna, która opanowała naszą poezję jest nie do pominięcia bez XX a tym bardziej bez XXII Zjazdu. Choćby „Człowiek” Meżelajtis. Wyobrażam sobie, jak kwalifikowane by go w czasach kultu. Abstrakcjonizm? Formalizm? Słabe naśladowanie zachodnich dekadów — modernizm? Ale czy miłają, poezja pozostaje. Dziękuję panu, Meżelajtis”.

W nowych pracach radzieckich artystów i dyskusjach przejawia się nie tylko gniewna rozprawa z koszmaram przeszłości, lecz także walka ze złem dnia dzisiejszego; jest to zarazem poszukiwanie formy i treści prawdziwie humanistycznej sztuki epoki komunizmu. Eugeniusz Jewtuszenko w odpowiedzi na ankietę miesięcznika „Woprosy literatury” tak to sformułował: „Pozostałem optymistą. Lecz mój optymizm już nie jest bierny czy różowy. Wchodzą weń wszystkie barwy, nie wyłączając czarnej (...). Wyobrażam sobie komunizm, jako pewnego rodzaju symboliczne państwo, którego prezydentem jest prawda, a ministrami — delikatność i surowość. Według mnie, w komunizmie wystarczy tych dwóch ministrów. A więc: pisarz winien być prototypem takiego państwa komunistycznego. Po pierwsze, pisarz powinien być czuły dla ludzi, powinien ich kochać i rozumieć. Lecz niezbędny jest także drugi warunek: pisarz powinien być bezwzględnie surowy zarówno wobec siebie jak i wobec niedostatków innych ludzi. Chciałbym jednak zaznaczyć, że pisarz tylko wtedy ma prawo być ostry i bezlitosny wobec ludzi, jeśli umie również być dla nich czułym...”

Walka toczy się więc o utrwalenie wszystkich cennych zmian, o to, by już nigdy nikomu nie przyklejać etykietek, troskliwie odnosić się do każdej twórczej, nowej myśli, pomagać rozwijać się każdej myśli owocnej, a odrzucając myśli i postawy niesłuszne, stosować metody krytyki przyjacielskiej, a nie ogólnikowo potępiającej i ubliżającej godności człowieka. Jedynie obowiązująca zasada w odniesieniu do twórczości artystycznej stało się

gość swego frontu (w czerwcu 1941 roku — 800 km, w rok później już 1200 km).

Rozpoczęte z końcem lipca niemieckie natarcie na Stalingrad siłami niemieckiej 6 armii gen. v. Paulusa, napotkało na gwałtowny opór radziecki, co skłoniło dowódcę hitlerowskie do wzmocnienia jej 4 armią pancerną gen. Hotha. To właśnie zgrupowanie miało wkrótce ulec zagładzie w kotle stalingradzkim. Na razie jednak inicjatywa znajdowała się w rękach niemieckich. Niemcy sforsowali Don i 23 sierpnia czołówki pancerne 6 armii osiągnęły Wołgę pod Stalingradem, otwierając sławną, bohaterką obronę tego „czerwonego Verdun”, jak go nazwali historycy zachodnioeuropejscy.

IGNACY RUTKIEWICZ

Za tydzień — następny artykuł z tego cyklu.

poszukiwanie prawdy. Umożliwia to nowa, atmosfera: artysta może przedstawiać konflikty, których nie trzeba wymyślać, może odrzucić zarazem cały balast pojęć, określanych dzisiaj mianem pustosłownia. Stąd też wywodzi się owocny — jak widać — niepokój myśli, odrzucającej wszystko, co technicznie skostniało i szablono. Niepokój, do którego wezwała partia i który czynnie popiera.

Jednocześnie w atmosferze swobody wypowiedzi toczą się ostre dyskusje, skierowane przede wszystkim przeciwko tym, którzy w nowym usiłują niekiedy widzieć „zagrożenie dla tradycji uświęconych” formuły.

Szczególnie ostre polemiki dotyczą krytyki artystycznej, której niekiedy przedstawiciele jeszcze starają się odczytywać w pracach twórców to, o czym artysta nawet nie myślał; którzy uważają siebie za jedynych nosicieli prawdy; którzy swoich oponentów — jak się wyraził niedawno znany pisarz Konstanty Pautowski — przedstawiają nieomal jako wrogów.

Walka więc trwa. Jej celem jest obrona człowieka przed banałem i biurokracją, przed obojętnością, złym smakiem i egoizmem, przed nieproszoną opieką dogmatyków i scholastyków. Stąd też wezwanie Jewtuszenki (wiersz „Spadkobiercy Stalina”), odnoszące się nie tylko do poezji:

„Partia
tyś zaszczerpła niepokój poecie
i niech nikt niepokoju mego nie
uśmierza”.

Przemysław Bystrzycki

Kłopoty z prozą o wojnie

Mozna postawić pytanie, dlaczego wszystko co odnosi się do II wojny światowej cieszy się takim powodzeniem. W dysertacji na ten temat należałoby podjąć następującą dyspozycję: a) doskwierający do dziś uraz czy wstyd po klęsce wrześniowej (choć można tę klęskę doskonale tłumaczyć dalszymi dziejami wojny: klęską francuską, angielskim tańcem nad przepaścią w okresie „Bitwy o Brytanii” itd.); b) wpływ krwi w okupowanym kraju i niepokojące pytanie — w jakiej proporcji stoi ten wpływ w stosunku do rezultatów walki (tkwi w nas bowiem racjonalna skłonność — mniejsza z tym: wrodzona czy nabyta przez wychowanie i naukę — wazienia na szali korzyści i ofiary; c) często nie odpowiadają tamtej rzeczywistości akcentowane nurty walki z fałszywem, oraz hamowanie dopływu przyczynków odnośnie epizodów mniej znanych; d) groza wiejąca z „epoki pieców”, mimo upływu tylu lat. Ten ostatni fenomen staje w pełniejszej ostrości w miarę powrotu życia do normalności. Prawa rządzące pamięcią i wspomnieniem uwypuklają przeszłą dziwność i okrucieństwo.

Romanika zawarta w wysiłku zbrojnym jest odrutką i jedyną chyba przewodnią w tych niebezpiecznych i bolesnych powrocie. Opornie czytuje opisy kaźni, relacje z hitlerowskich obozów koncentracyjnych, nie mogę tego dzisiaj znieść, ale do wspomnień wojennych, do pamiętnika wyższego dowódcy, do opisu walk zawsze jeszcze chętnie sięgnę.

Mam wrażenie, że nie jestem w szczególnej sytuacji. Jeśli żądamy za- doświecznienia za nasze poniżenie i

Nasz rozmówca Ernst Geisenheyer ze Stuttgartu posiada profesję zupełnie u nas nie znaną. Jest on mianowicie pośrednikiem w zakupie i sprzedaży dzieł literackich. Jego inicjatywy nie zawdzięczać należy ukazanie się na półkach księgarskich NRF, Francji, Włoch, Holandii, Danii i Anglii wielu książek polskich autorów. Pan Geisenheyer (zorientowany w naszej literaturze współczesnej nie gorzej chyba od niejednego krytyka) siedzi właśnie przed nami z grubym notesem w ręku, w którym w alfabetycznym porządku, pedantycznie odnotowane są nazwiska czołowych polskich pisarzy i tytuły ich dzieł.

— Za swoje największe dotychczasowe osiągnięcie — mówi p. Geisenheyer — uważam inicjatywę, która doprowadziła do wydania w Duesseldorfie albumu plakatu polskiego obejmującego około 400 prac wszystkich czołowych grafików. Jest to luksusowa publikacja, przy czym sam koszt produkcji wyniósł 17 tysięcy dolarów. Interesuje pana cena? Niebagatelna: 14 i pół dolara! Nakład: 4 tysiące egzemplarzy.

— A pozycje książkowe? — O, jest ich sporo. Bodaj najlepiej „chwycili” „Kolumbowie” Bratnego. W ciągu półtora roku sprzedałem licencję na tę książkę do wielu krajów, m. in. do Szwecji, USA, Anglii, Francji, Hiszpanii. Za kilka miesięcy powieść Bratnego wyjdzie we Francji i we Włoszech. „Kolumbowie” ukazały się już w Holandii, Danii i NRF. Tu ciekawostka: jedno z monachijskich wydawnictw wypuściło „Kolumbów” w wydaniu kieszonkowym. Nakład rekordowy: 25 tysięcy!

— Inni autorzy? — A więc znakomita Maria Dąbrowska. Jej książka „Ludzie stamtąd” ukazała się we Włoszech; również włoskie wydawnictwo nabyło „Gwiazdę zaraną”. Z dużym zainteresowaniem przyjęto w NRF świetne dzieła Andrzeja Jędrzejewskiego „Popiół i diament” i „Ciemności kryją ziemię”. W latach 1963 i 1964 wyjdą dwie książki tegoż autora: „Bramy raju” i „Niby gaj”. Tadeusz

Największy sukces wydawniczy

Breza — mówi dalej gość z NRF — reprezentowany jest książką „Spisowa brama”, która ukazała się w NRF i we Francji, a opcję na to interesujące dzieło nabyli już także Włosi i Holendrzy. Zainteresowano się również „Urzędem” tegoż autora.

— O ile wiem, zainteresowanie na Zachodzie wywołała praca Jana Kotta o Szekspirze...

— Owszem, trzymamy rękę na pulsie. „Szkie o Szekspirze” Jana Kotta ukazała się najpierw w NRF. Jedno z wydawnictw zachodniemieckich nabyło już także opcję na „Filipa” Leopolda Tyrmanda. Warto również wspomnieć o ciekawej pozycji „Listy do pani Z.” Kazimierza Brandysa, która to książka ukazała się w 1964 r. w Monachium, Stanisław Dygat reprezentowany jest w NRF „Podróżą”. Ukazała się ona w październiku br., przedtem została wydana we Włoszech, a w roku przyszłym ukaze się na półkach księgarskich Francji. „Boski Juliusz” Jacka Bocheńskiego wyszedł w NRF, zaś opcję na tę książkę sprzedałem już i do Włoch. Tę niekompletną listę — dodaje nasz rozmówca — zamknę ciekawą książką Wilhelma Macha „Góra nad Morzem Czarnym”, którą „ułożyłem” w NRF i we Francji.

— Agencja literacka, którą pan reprezentuje zakupuje zdaje się książki również w innych krajach socjalistycznych?

— Tak. W Czechosłowacji, na Węgrzech oraz w Jugosławii.

— Jak w tym zestawieniu przedstawiają się „zakupy” poczynione w Polsce?

— Na Polskę przypada 70 proc. zakupionych tytułów, na pozostałe wymienione kraje łącznie 30 proc. Uważam, że to słuszny „podział”. Polska literatura jest najciekawsza...

Rozmawiał:
Zbigniew K. Rogowski

na temat lotników bombowych, wysokiej klasy gawędę o zakroju epickim dał Ksawery Pruszyński, prawdopodobnie ostatni jasny błysk tradycji sienkiewiczowskiej w narracji (ograniczę się do tych przykładów) — to beletrystykę o ambicjach zdecydowanie powieściowych wyprowadzono z tych prób z defektami. Nie przekonał mnie Olgierd Terlecki trzyczęściowym cyklem („Kierunek Cassino”, „Pokonani”, „Przystanek Londyn”) — doskonały opis bitwy o klasztor przecież nie wystarczy — nie przekonał też Edward Ligocki „Kursiem na Gibraltari”.

W „Kursie” Ligocki przedstawia pierwsze dwa lata pobytu wojsk polskich w W. Brytanii. Właśnie dotyczy bardziej lat niż pobytu, bo wypadki ogólnie już znane, historyczne, stanowią bliskie tło perypetii bohaterów. Oczywiście, może autor sprzyświecenia oficerskie, konspiracje przeciwko Sikorskiemu itd. komentować na swój własny sposób. Może — idąc dalej — śmierć generała obciążać właśnie tych spiskujących. Nie zależnie od tego, iż jest to trochę naiwna próba rozwiązania tego, czego do dzisiaj rozwiązać nie możemy, to znaczy: kto ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za śmierć Naczelnego Wodza, razi mnie logiczna i krytyczna konstrukcja takich równań myślowych, z wieloma niewiadomymi i z zakamuflowaną sugestią wyjaśniającą, która w istocie niewiele, te mroki i te ślady, dziś już dobrze zatarłe, rozświetla.

Razi mnie porwany rytm fabuły, fabuły z naturalnymi, skądinąd, uroczeniami do wiązania rozległych opisów, wmontowanych na siłę w treść, a dotyczących wielu dziedzin wyspiarskiego życia. Onieśmia też język. To nie sprawa puryzmu. Cenię odnowicieli ojczyzny mowy, lecz irytująca maniera akcentowania przez zabieg syntaktyczny ostatniego wyrazu zdania i przez to nadawanie zdaniu fałszywej melodii, jest trudna do wysłuchania.

Nie będę się nad pozycją rozwodził. Wysła przed rokiem, dobrze zresztą, że wysłała bo ma trochę informacji rzeczowych, chciałem tylko zwrócić uwagę jak temat ostatniej wojny żyje wśród nas dla różnorodnych przyczyn. I jak szuka drogi ujęcia we formie nie zawsze najlepiej dobranej.

Ewa Berberyusz

Angielscy Polacy czy polscy Anglicy?

Korespondencja własna z Londynu

Czy widziałas już queen'ę? — pyta mnie moja ciocia. Polacy, których w Londynie jest blisko 40 tysięcy, żyją we własnych enklawach. Starsze pokolenie do dziś nie umie po angielsku, ale i ich polszczyzna pozostawia wiele do życzenia. Polskie końcówki fleksyjne są tu beztrudno doczepiane do angielskich rdzeniów wyrazowych. Wygląda to tak: Torba stoi pod sink'iem (zlewem) ale się śpiesz, bo w czasie rush

Gdzie poznański realizm?

Dokończenie ze str. 1

Dlaczego MPK nie doczekało się solidnych warsztatów? Bo nakreślono wizję budowy znów czegoś „na miarę”, gdzieś na Junikowie, za niekiech dziesiątki milionów. Dlaczego Poznań nie ma porządnego, obszernego, wzorcowego sklepu meblowego? Ha, bo w planie jest... Dom Meblowy!

A może po prostu nasze, ukształtowane przez trudne dziesięciolecie zaborów i okupacji, poczucie realizmu — zaczynają pokrywać rysy? A może jednak wyobraźni nie mamy na tyle, by wyzłodzić się z brzemienia pewnych schematów typu współczesnego?

PIOTR ŻYCKI

hour'u (godzina szczytu) w bus'ie będzie tiok i nie zdązysz zrobić shopping'u.

Pamiętaj wziąć u grocer'a dwie tin'y (puszki) kawy! Dzieci natomiast urodzone już w Anglii wstydzą się i angielszczyzny i polszczyzny rodziców.

Mamo nie mów do mnie po polsku przy koleżankach — prosi moja kuzyneczka. — Ale i po angielsku lepiej nie mów, bo źle wymawiasz.

Dziecko nie lubi wylamywać się z otoczenia. Toteż przykazuje rodziców, żeby z dumą głosili, że jest „Polish and Catholic”, z trudem przechodzi mu przez gardło.

Ale nie wszyscy rodzice wpajają dziecku „patriotyzm”. Niektórzy starają się i w domu przestawić wyłączenie na angielski, by nie stwarzać dziecku konfliktowej sytuacji.

Młódzie, która wczesne dzieciństwo spędziła jeszcze w Polsce, a szkołę średnią ukończyła już w Anglii, jest „rozdarta”. Ich akomodacja jest niepełna. We Wspólnocie Brytyjskiej będą zawsze „strangers” — obcy.

Skarżył mi się młody ambitny inżynier, że owszem, zarabia świetnie i na wszystko go stać, ale mimo zdolności, kierowniczego stanowiska nie dochrapie się nigdy, właśnie z powodu tej obojętności. „Poddany brytyjski, ale nie przez urodzenie”.

Gdy po niedzielnej sumie ludzie szeroką ławą wylewają się z Brompton Oratory (katolicka katedra Londynu), góruje język polski. Polacy też ustawiają się w kolejce do polskiej ciastkarni, by za bajorńskie sumy kupić imitację polskich ptysi i napoleonek na niedzielny deser.

Wieczorem w licznych polskich lokalach odżywa atmosfera teatrzyków rewiowych Dwudziestolecia. — „Zimnego drania”, „Zimnego drania”! — domagają się goście, i pianista bębni „Zimnego drania”.

Jesteśmy „Chez Sophie”, w kabinie znanej ongiś piosenki Zosi Terne. — Kto ułożył słowa „Zimnego drania”, Zosiu?

— Andrzej Włast! Oczywiście, Andrzej Włast.

Jakiś starszyśkie łapie mnie za mankiety.

— Hotel Europejski jeszcze stoi? Jakim przyjeżdżał od siebie z kresów, toż zawsze stawał w pokoju 243. Dobrze to były czasy...

Odpowiadam, że po generalnej przebudowie, Hotel Europejski na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie przeżywa swój renesans, i jego pozycja z trzema gwiazdkami w międzynarodowym Baedekerze jest znowu w pełni uzasadniona.

Choć tak często i chętnie demonstrują swoją polskość, Polacy w Anglii nie zachowują nic z narodowego charakteru: nie z ducha Sarmaty. Szeroki gest, lekkomyślność, wszelkie: „hulać dusza” są im obce. Miał tego: rozsadek, zastanowienie, kalkulacja. Sknerza, ścibola, składają. Dwa razy obejrzą każdego pensa, nim go wydadzą. Mrówczą pracą dorabiają się mniejszych lub większych majątków. I tak wszyscy: od robotników, poprzez kupców, handlarzy nieruchomości, drobnych fabrykantów, aż do działaczy społecznych.

Mówił mi taki jeden: „Znaleźliśmy się w kraju, gdzie każdy handluje czym może. Ja handluję polskością”.

Może owa chęć dorobienia się za wszelką cenę, jest instynktowną samoobroną przed ową „obcością” — bo gdzie jak gdzie, ale tu pieniądze łamie każdą barierę.

Eugeniusz Pauksza

Proza polska

Książek polskich autorów zebrano się ostatnio na recenzentem biurku wcale nie mało. Z uwagi na brak miejsca zajmę się w bieżącym przeglądzie wyłącznie pozycjami, które szczególnie zasługują na wyróżnienie i zalecenie.

Nakładem PIW-u ukazał się pięknie wydany tom „Dramaty” Leona Kruczkowskiego, zawierający całość dorobku dramatycznego zmarłego niedawno wybitnego pisarza. Zaletą tego pośmiertnego wydania jest fakt, iż pisarz zdążył jeszcze przeprowadzić ostatnią korektę tomu, zatem otrzymujemy tomy w ostatnim kształcie nadanym im przez autora. Jeszcze raz możemy wyczytać się w humanistyczną

myśl, zawartą w głośnych „Niemcach”, w „Juliuszu i Ethel” czy w „Pierwszym dniu wolności”. Poza tym tom zawiera jeszcze „Od wety”, „Odwiedźmy” i „Śmierć gubernatora”. Bardzo też dobrze się stało, że równocześnie ukazała się nakładem PZWG cenna praca i bardzo potrzebna, mianowicie Zenon Macużanki wybór opracowań i materiałów pt. „Leon Kruczkowski”. Tom zawiera zwięzłą, trafnie ujętą charakterystykę pisarza, wybór jego przemówień krytycznych, wreszcie bogaty zestaw opinii i sądów o Kruczkowskim pióra wybitnych pisarzy i krytyków tak okresu dwudziestolecia jak i czasu powojennego.

„Czytelnikowi” zawdzięczamy pozycję na pewno najbardziej w czasie, mianowicie Zbigniewa Załuskiego „Siedem polskich grzechów głównych”, znamienity i mądry głos w sławetnej dyskusji i polskich cechach narodowych, gdzie skrajne postawy od chwały każdego bohaterstwa aż po kpnię z prawdziwej ofiarności, znajdują właściwą odprawę na rzecz rozsądnego i godnego widzenia historii. Na pewno i u Załuskiego niejedno budzi wątpliwość, ochotę polemiki; inaczej zresztą praca ta traciłaby na zaangażowaniu emocjonalnym, w sumie jednak postawa autora budzi sympatię i aprobatę.

Od grzechów narodowych w przeszłości warto przenieść się w czas dzisiejszy, odbity poprzez relacje o wielkim walorze autentyzmu. Wydawnictwo Literackie opublikowało tom opowiadań Juliana Aleksandrowicza „Kartki z dziennika doktora Twardego”, wybitnego medyka, znanego przy

tym społecznika i humanisty. „Kartki”, to oparte o autopsję przeżycia okupacyjne, w getcie krakowskim, w partyzancie kieleckiej, gdzie lekarz może wnikliwie analizować postawy ludzkie w całej ich skrajności. Lektura tomiku poprzez swoją surowość ocen, poprzez ton bezpośredniego przeżycia, odbiega znacznie od innych relacji wspomnieniowych, poszerza widzenie tamtych czasów, uzupełnia obraz człowieka.

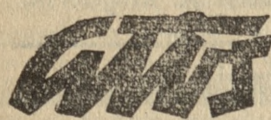
Bardzo autentyczną, opartą wyłącznie o zasób obserwacji wybitnego działacza, jest wydana w „Czytelniku” powieść Waldemara Babinicza p. t. „Obecny”. Jak zawsze, i tutaj jest Kielecczyna, mamy Oltarzew, scenę

dzisiejszego gimnazjum, matura, pierwsze miłości, czas dorzeczania, wszystko oparte o fakty, realia, barzo, bardzo współczesne, co stanowi główną zaletę zrecenzowanej powieści.

Chciałbym też zwrócić uwagę na dwa, moim zdaniem, szczególnie ciekawe debiuty prozatorskie. „Iskry” wydał tom opowiadań Aleksandra Bogdańskiego p. t. „Wieczór nad rzeką”, ciekawych w swym realizmie podejścia do spraw życia, odczuciu głębokiej więzi człowieka z przyrodą i rozumieniu wnętrza tego człowieka. Tomik Bogdańskiego wart jest zapoznania, osobiście wróć autorowi niejednemu sukces pisarski. Z pewnym natomiast uczuciem zawodu przyjąłem wydany przez LSW tomik opowiadań Czesława Kuriaty, koszałiniarza. Po „Dziewczynie pod kwiatami”, może urzeczony famą, jaka towarzyszyła startowi prozatorskiemu tego ciekawego poety, oczekiwałem więcej niż dużej poprawności tego skądinąd zresztą interesującego tomiku. Obraz świata Kuriaty jest zawężony, autor momentami jakby się zatracił w analizie zjawisk, z drugiej jednak strony ujmujące jest jakieś poetyckie widzenie, liryczna aura towarzysząca określanym nastrojom.

Ubiegła pisarzy poznańskich w wyborze tematu Danuta Bieńkowska powieścią „Liczy się każdy dzień” (Wydawnictwo Poznańskie), podejmującą problem Targów Poznańskich traktowanych jako tło romantycznej, mocno podbudowanej sensacją akcji. Niezła to powieść rozrywkowa, kolorytem lokalnym zaś przyciągnie niejednego odbiorcę wielkopolskiego.

„Kankari dość!” — rzekł do mnie, po ukazaniu się „Głosu Dojarza”, obywatel Smietana, w sensie przyznej zachęty do zmiany profesji. Wypowiedz ta raz jeszcze unaocznia ciernie, jakimi usłana jest droga twórcy, nie rozumianego często nawet przez czytelnika. Twórcę nie powinien się jednak zalamywać, gdyż zalamuje się wyłącznie wykonawstwo planu. Stąd też kontynuuję, a owocem tego jest:



Walcownika

pod redakcją
JANUSZA PRZYBYŚZA

Konferencje — zjazdy

Właśnie w sobotę odbyła się w ministerstwie narada z terenem. Naradę prowadził obywatel Walc, były walcacz a obecnie dyrektor departa-

mentu. Wywalcował on uczestników jak nikt.

Niebawem nowe walce
w handlu

O zamierzeniach poinformował przedstawicieli prasy na ostatniej konferencji przed stawiciel dyrekcji. Dowiedzieliśmy się, że już wkrótce w sprzedaży znajdzie się szereg atrakcyjnych walców:

— befonowy, jednawalcowy, dwukolowy, parowy;
— dwuwalcowy na ropę;
— ręczny, jednawalcowy z dyszlem.

Tak więc, w każdym domu znajdzie się wkrótce walec.

Zapytany, po co walec w domu, przedstawiciel dyrekcji wyjaśnił, że właściwie nie wiadomo. Wobec ogólnego braku na rynku 1000 drobiazgów, dobrze będzie jednak mieć w domu chociaż walec.

Gdzie spędzimy
niedzielne popołudnie?

W ogrodzie zoologicznym nowe atrakcje. Dzieci mogą jeździć na osie, a dorośli walcem. Bilety do nabycia w „Orbisie”.

Jak jeździć walcem?

Eleganckie panie dopytują się masowo, czy uczą gdzieś prowadzenia walca. W dobie powszechnej motoryzacji nie do pomyślenia jest, aby kobieta nie potrafiła prowadzić walca.

Ołoż kursów jazdy walcem dotąd nie uruchomiono (pod-

dajemy to pod rozważę ojców miast). Ogólne zasady, to:

— nie brać ostro zakrętów,
— nie wjeżdżać walcem w żyto,
— wymijać lewą stroną.

I nie trąbić! Zwłaszcza wód ki!!!

Z ostatniej chwili

Dowiadujemy się właśnie, że PKO wprowadza nowy rodzaj książeczek oszczędnościowych, docelowych, premiovanych walcami. W bieżącym kwartale, na szczęśliwie, czeka 5 wysokosprawnych i tak dalej, i tak dalej.

Repertuar teatrów

Operetka: „Czar walca”.

Kto wygrał w konkursie walca?

Szczegóły niebawem.



Nauczyciel ery atomowej —

to tytuł artykułu Mikołaja Kozakiewicza w najnowszym numerze Głosu Nauczycielskiego. Ten nauczyciel:

„będzie doskonale zorientowany w tych problemach nauki i techniki, jakie dają do dyspozycji ludzkości siły o potęgę nigdy przedtem nieznaną, jak też w tych problemach polityki, ekonomiki, filozofii i moralności, kultury i światopoglądu, jakie wyznaczają ludzkości jedynie słuszny i bezpieczny sposób i kierunek wyzyskania tych potężnych mocy. — Wyzyskania nie dla zniszczenia, lecz dla rozkwitu, nie dla nuklearnej zagłady, lecz dla szczęścia całej Ziemi, starej planety ludzi”.

W tym trochę przydługim i pewnie dlatego nie od razu zrozumiałym zdaniu zawarł autor wizję nauczyciela ery atomowej, który chyba bardziej będzie wychowywać niż nauczać. Tę ostatnią funkcję w pewnym stopniu przejmą od niego maszyny elektroniczne, telewizja, film itp.

Problem zbożowy

Deficyt zbożowy i związane z nim trudności nabierają ostrości i to pomimo zastosowania zespołu środków, zmierzających do rozwoju krajowej produkcji zbóż i racjonalnego ich zużycia. Życie Gospodarcze w artykule Władysława Misiuna pt. Problem zbożowy porusza sprawę importu zbóż przy równoczesnym dążeniu do wzrostu produkcji krajowej, co z kolei prowadzić winno do stopniowego ograniczenia a nawet całkowitego zlikwidowania importu. Na razie jednak import zbóż wzrasta i to bardzo szybko. W 1961 roku,

najbardziej urodzajnym po wojnie, import zbóż wyniósł około 2,5 mln. tony.

„Czy możemy osiągnąć samowystarczalność w produkcji zbóż — pisał Wł. Misiuna — i czy dążenie do niej jest uzasadnione? Oczywiście tak, ponieważ można w naszych warunkach zwiększyć bardzo poważnie plon. Ale ich szybkie podnoszenie wymaga określonych środków. Te środki, które mogłyby najszybciej i najsukuteczniej działać, pochodzą z przemysłu (głównie nawozy mineralne i środki ochrony roślin). Zaznaczamy, że wzrost produkcji tych środków, zwłaszcza produkcji nawozów mineralnych, wymaga m. in. także importu surowców, których brak w Polsce”.

Sytuacja jest więc dość skomplikowana. Trudności pogłębia fakt, że występują tendencje do wzrostu w zasiewach i produkcji żyta, przy jednoczesnym zaniedbywaniu upraw pszenicy i jęczmienia, które to zboża w większości krajów zajmują coraz większe areale. W zmianie więc struktury zasiewów na korzyść pszenicy i jęczmienia tkwią u nas duże rezerwy do zwiększenia plonów zbóż.

Rozmowa z Ministrem Handlu Wewnętrznego

Polityka publikuje rozmowę z ministrem handlu wewnętrznego Mieczysławem Leszem pt. Nasze rynkowe sprawy. Jest tu mowa o słabym urodzaju pasz, warzyw i owoców, o trudnościach rynkowych, o zaopatrzeniu w ziemniaki, o rejonach, w których najczęściej występują tak zwane niepokoję na rynku żywnościowym, o zaopatrzeniu w mięso i wędliny, o strukturze spożycia i zmianach w niej występujących, jest wreszcie pytanie: „Skąd (...) kolejni po kilogram maki, cukru? Minister Lesz tak odpowiada: Przyczyną trudności są nadmierne zakupy. Można to łatwo stwierdzić przez porównanie w październiku br. ze średnią sprzedażą miesięczną z okresu I półrocza (w tysiącach ton). Mąka ryńska 37,5 (29,5), cukier 60 (52), sól 28,9 (18,1), makaron 4,5 (4). W nawiasach podajemy średnią miesięczną na I półrocze br., — dop. red. Na IV kwartał br. zgromadziliśmy dostateczny zapas towarów, o wiele większy od fak-

tycznej sprzedaży w IV kwartale roku ub. Tak np. kaszy przewidziano do sprzedaży o 10 proc. więcej, cukru o 13 proc. więcej, smalcu 18 proc. więcej. Pozwólcie, że ja Wam z kolei zadam pytanie: jeżeli dajemy tylko o 1 tysiąc ton mniej maki, a za to o 4 tys. więcej margaryny i o 6 tys. więcej smalcu i jeżeli pomimo to brakuje gdzie — niegdzie smalcu, to czy można uznać, że jest to popyt normalny, na bieżące potrzeby?”

Więcej zdrowia dla wsi!

Służba Zdrowia zamieszcza artykuł pt. Zdrowie jutro wsi, omawiający sprawy opieki lekarskiej, właściwej lokalizacji środków, związania lekarzy ze wsią, doszkalania ich w szpitalach, opieki lekarskiej w PGR-ach, braku pielęgniarek itp., itd.

„Jakie są możliwości poprawy opieki lekarskiej na wsi? W bieżącym planie 5-letnim zakłada się, że do roku 1965 z funduszy inwestycyjnych rad narodowych powstanie około 200 ośrodków zdrowia, z funduszy SFOS-u — 270, w ramach czynów społecznych — 300. Prócz tego przewiduje się budowę około 100 wiejskich szpitali zdrowia. Oczywiście wszystkie te placówki będą posiadać mieszkanie dla lekarzy”.

Cytowany artykuł poświęca również nieco miejsca higienizacji wsi, postulując budowę domów higieny, niewielkich, pomieszczeń z natryskami, tworzenie wzorcowych wsi promieniujących na całą okolicę, powoływanie komitetów higienizacji a także powołanie na szczeblu centralnym jakiegoś ciała poświęconego ruchowi higienizacji w całym kraju. Wielkopolska jest w tym szczególnie położeniu, ze sprawami higienizacji wsi interesują się organy rad narodowych. Wspólnie z redakcją „Głosu Wielkopolskiego” Prezydium WRN ogłosiło nawet konkurs. Dobrze, że te problemy stają w centrum zainteresowania kompetentnych czynników.

Konkurs dla nauczycieli

Redakcja Życia Literackiego ogłosiła konkurs dla nauczycieli na pracę pisemną, która obrazowałaby ich doświadczenia życiowe. Temat pracy

konkursowej brzmi: szkoła i ja (rzeczywistość — propozycja). Za najlepsze prace przewidziano 3 nagrody po 5, 3 i 2 tysiące złotych oraz 10 wyróżnień po 1 tysiąc złotych. Zainteresowanych szczegółami kierujemy do Życia Literackiego z 18 listopada br.

Pokrzywdzeni studenci

Kierunki — tygodnik społeczno-kulturalny katolików — publikuje felieton KONTRA-TYP'a pt. Stypendia fundowane. Autor pisze, że studenci na wszystko się skarżą, że złe są — rzekomo — kwatery, bo jest ciasno, złe jest — rzekomo — jedzenie, bo nie jak „u matki”, złe są — rzekomo — warunki, bo za słabe, złe są — rzekomo — przepraszam za poruszenie i tych spraw — miejsca samotnego przebywania, bo „brudne”. Najgorsze są stypendia fundowane, bo trzeba jechać na prowincję.

Chyba warto przypomnieć zawodowym mal-kontenkom, co następuje:

„Co drugi student przed wojną upiłby się z radości, gdyby dostał powojenną „złą” kwaterę (...) Co drugi przedwojenny student byłby rad, aby (w proporcji) za taką cenę dostał — takie jedzenie. Bito się o daleko gorsze! Co drugi przedwojenny student byłby zachwycony warunkami mieszkalnymi na Jelonkach (osiedle studenckie w Warszawie — dop. red.) dojadłby uważałby za drobnośkę. Tramwaje były tak drogie, że co drugi szedłby pieszo (...)

Co drugi student pracował przy 15-świecówce i jeszcze był rad (...) Wreszcie KAŻDY student przyjałby „z pocaloowaniem ręki” stypendia fundowane. Stypendia fundowane „zapewniają” studentowi miejsce pracy (...) Nie sięgając w czasy przedwojenne, warto spytać dzisiaj wielu studentów bogatych, zachodnich krajów, czy mają ZAPEWNIŁA pracę CHOCIAŻBY na pogardzanej „prowincji”.

Ten ostatni fragment, gwooli uprzytomnienia i przypomnienia, dedykuję wszystkim studentom.

LEKTOR